

Święta Joanna od sierpa i młota

To nie było miłe widowisko, ale nikt nie obiecywał, że będzie miło. Dziś już mało kto grywa Brechta. Mało kto też rozprawia o kapitale i pracy, klasie wyzyskiwaczy i uciskanym proletariacie. A to już dwa powody, by zainteresować się „Świątą Joanną szlachtuzów”. Najnowsze przedsięwzięcie kaliskiego teatru miało swoją premierę w minioną sobotę

ROBERT KORDES

■ Bertolt Brecht na deskach teatru szczególnie hołubiony był w czasach realnego socjalizmu. Od związanych z tym skojarzeń trudno uwolnić się komuś, kto dobrze pamięta czasy PRL, ZSRR i NRD. Jednak państwa te zakończyły swój żywot ćwierć wieku temu. To dostatecznie dawno, by zadać sobie pytanie, jak Brechtowska problematyka zniosła próbę czasu. Tym bardziej, że przecież jego sztuki powstawały jeszcze wcześniej. Czy dziś jeszcze ktoś mówi takim językiem? Czy nie zwietrzały już nawet same podstawowe pojęcia? Czy bieda i bezrobocie, nawet jeśli są naprawdę głębokie, są przy tym aż tak dramatyczne i krzyczące? Nasze codzienne doświadczenie wskazuje, że jednak nie. W krajach takich jak Polska dziś nikt nie musi przymierać głodem. Chyba, że robi to na własną prośbę. Nie ma eksmisji na bruk, a policja nie strzela do demonstrantów. Przynajmniej nie z ostrej amunicji. Nikt też nie siedzi w więzieniu za wyznawane poglądy, chyba że jest praktykującym pedofilem, terrorystą albo mordercą. Wszystko to sprawia, że trudno dziś traktować Brechtowskie dylematy w sposób całkowicie dosłowny. Co oczywiście nie zmienia faktu, że nadal istnieją ludzie szczęśliwi i nieszczęśliwi, tak samo jak istnieją

bogaci i biedni. Istnieją też pracownicy i leniwi. Generalnie jednak czasy zmieniły się na tyle, że Brecht zdaje się wymagać pewnego cudzysłowu. Czy taki cudzysłów daje się dostrzec w spektaklu w reżyserii **Wojtka Klemma**? Obawiam się, że nie.

Kim jest reżyser

W „Świętej Joannie” po kalisku istnieją pewne nawiązania do polskiej współczesności, jednak raczej jako przystawki niż jako danie główne. Powiedzmy kilka słów o reżyserze, jako że w Kaliszu wystawia on po raz pierwszy. Urodził się w roku 1972 w Warszawie. Mając siedem lat, wyjechał z rodziną do Niemiec, gdzie mieszka do dziś. Ukończył reżyserię w Wyższej Szkole Sztuki Dramatycznej w Berlinie. Reżyseruje głównie w Niemczech, Austrii i Szwajcarii. W Polsce zadebiutował w roku 2005 w gdańskim Teatrze Wybrzeże. Później wystawiał w teatrach Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Łodzi, Szczecina, Zielonej Góry i Jeleniej Góry. W latach 2007-2009 był dyrektorem artystycznym Teatru im. C.K. Norwida w Jeleniej Górze. Co zaproponował w Kaliszu?

Bez zbędnych udiwnień

Na szczęście nie silił się na modne dziś na deskach polskich scen dekonstrukcje oryginałów, by nie powiedzieć – sekcje ich zwłok. Nie

jest to więc spektakl „według Brechta” ani „na motywach Brechta”, a po prostu spektakl Brechta. Pod względem gry aktorskiej widowisko to broni się nieźle. W pamięci pozostaje na przykład wyrazista, choć zaledwie drugoplanowa rola **Jacka Jackowicza**, podobnie jak i cała gra zespołowa. Wprawdzie wielkiej kreacji godnej nagrody w konkursie sztuki aktorskiej Kaliskich Spotkań Teatralnych dopatrzeć się trudno, ale na pewno nie można powiedzieć, że kaliscy aktorzy nie stanęli na wysokości zadania postawionego im przez reżysera i dramaturga. Spektakl został też starannie przemyślany od strony scenografii i oprawy dźwiękowej. Obie są dość oszczędne, ale takie właśnie powinny być, by nie przesłaniać i nie zagłuszać problemów i konfliktów kluczowych dla Brechta. Co więc zawiodło, albo sprawia wrażenie kuli u nogi kaliskiego przedsięwzięcia? Paradoksalnie chyba sam Brecht, jego ciężka i krzycząca problematyka nie całkiem już przystająca do dzisiejszej rzeczywistości. Ta ostatnia nadal jest niepokojąca i może nawet dramatyczna, ale już w inny sposób, wymagający innego potraktowania i może nawet innego języka. Może więc tym razem należało dokonać dalej idących ingerencji w tekst, niż uczynili to dramaturg i reżyser? Może przydałoby się wstawienie



Foto: Bartek Warzecha

większej dawki nawiązań do współczesności? Może odświeżające okazałyby się dalej idące cięcia w tekście i skrócenie całego spektaklu? Trudno dociec, ale trudno też, aby widz podpowiadał reżyserowi, co ten ma zrobić, aby jego spektakl był po prostu ciekawszy i bardziej przyciągał uwagę publiczności. Przemyślenie i wykonanie tego zadania należy do reżysera, wspomaganego w tym przypadku przez dramaturga. To oni już na wstępie powinni odpowiedzieć sobie na pytanie, co zrobić, aby było dobrze i aby widz się nie nudził?

Szyfowe prace

I pewnie nawet starali się to uczynić. Pośrednio świadczy o tym choreografia i cały ruch, którego w kaliskim przedstawieniu jest całkiem sporo i który wydaje się

starannie przemyślany i przećwiczony. Ale właśnie z tego powodu, że zostało to zrobione dobrze, giną z kolei problemy i dramaty osób, które tym ruchem się posługują, a wypowiedzane słowa w pewnych momentach wydają się jedynie kłopotliwym dodatkiem do gestów, którymi zostały opatrzone. W sumie – nie widać dobrego wyjścia z tego zderzenia autora z dramaturgiem i reżyserem. A to oznacza – jeśli nie klęskę, to w każdym razie brak powodzenia. Kaliska „Święta Joanna szlachtuzów” nie przynosi wstydu i nie musimy jej ukrywać pod kołdrą. Jednak stąd jeszcze daleka droga do tego, byśmy mogli się nią chwalić. Na ten spektakl można pójść. Ale nie oczekujmy po nim ani łatwego wieczoru, ani satysfakcji – cokolwiek ta ostatnia miałaby oznaczać.

„Święta Joanna szlachtuzów” Bertolta Brechta; reżyseria Wojtek Klemm; dramaturgia Tomasz Cymerman; scenografia Mascha Mazur; kostiumy Julia Kornacka; muzyka Dominik Strycharski; choreografia Anna Krysiak; obsada: Mulberry – Zbigniew Antoniewicz, Pani Luckerniddle – Izabela Beń, Marta – Agnieszka Dulęba - Kasza, Paulus Snyder – Jacek Jackowicz, Mauler – Łukasz Kaczmarek (gościnnie), Cridle – Małgorzata Kałędkiewicz – Pawłowska, Przewodnik Chóru – Ewa Kibler, Slift – Dawid Lipiński, Graham – Dariusz Sosiński, Gloomb – Marcin Trzęsowski, Joanna – Maja Wachowska; Teatr im. W. Bogusławskiego w Kaliszu; premiera 20 lutego 2015 r.